leżytość pocztową opłacono ryczałtem.

Nr. 12. we Lwowie, grudzień, 1923. Rok XLIV.

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

KALENDARZ ŁOWIECKI **W grudniu wolno polować** na wszelką zwierzynę łowną prócz kuropatw.

Do członków! Kwartalna wkł dka dla członków wynosi 3 złp., równająca się, w razie zapłaty w ciągu grudnia, 1,620.000 Mkp.

Prenumerata na IV-ty kwartał 1923 wynosi 1½ złp., równającego się w razie zapłaty w ciągu grudnia 810.000 Mkp. Cena pojedyńczego numeru 300.000 Mkp, — Ceny ogłoszeń: cała strona 8,800.000, ½ str. 4,400.000, ¼ str. 2,200.000, ⅛ str. 1,100.000, 1/16 str. 550.000, 1/32 str. 300.000 Mkp. Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50% drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. Adres telegramów: „Łowiec“, Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839.

CZEŚĆ ŚW. HUBERTOWI PO WSZYSTKIE WIEKI!

W r. 1926 święcić będziemy 50-lecie istnienia naszego Towarzystwa!

Zbożną byłoby rzeczą, byśmy dzień przeznaczony na Złotych tych godów uczczenie, rozpocząć mogli od wysłuchania Mszy św. przed ołtarzem, poświęconym św. Patronowi Łowiectwa.

Komitet ufundowania ołtarza św. Huberta w kościele św. Elżbiety we Lwowie, nie fungujący od wybuchu wojny, przez Wydział M. T. Ł. teraz na nowo powołany do życia, rozpoczął już swe prace, dążące do doprowadzenia do skutku zbożnego dzieła, będącego gorącem życzeniem dwu już generacji naszych myśliwych.

Władze kościelne, z naszym najdostojniejszym Arcypasterzem na czele, jaknajżyczliwiej popierają starania Komitetu i oddają nam kapliczkę z prawej strony nawy wspaniałej Świątyni.

Od nas teraz tylko zależy urzeczywistnienie tego pięknego dzieła, mającego być świadectwem głębokiej czci naszej dla św. Patrona Łowiectwa, oraz pomnikiem żywotności naszego Łowiectwa po wszystkie wieki!

Niechże obficie popłyną ofiary i to natychmiast! Wykonanie obrazu św. Huberta powierzyliśmy już pierwszorzędnemu polskiemu artyście. Sprawa wymaga na wstępie znacznych kosztów, które musimy już pokrywać!

Datki w gotówce, akcjach, walucie zagranicznej i kosztownościach, w upolowanej też zwierzynie przyjmuje biuro M. T. Ł., a nazwiska ofiarodawców będą drukowane w „Łowcu“.

WYDZIAŁ

Małopolskie Towarzystwo Łowieckie tudzież redakcja i administracja „Łowca“ — mieszczą się w nowym lokalu ul. Ossolińskich 11, III p.

SEWERYN KROGULSKI

(Przedruk wzbroniony)

Łowiectwo polskie pod zaborem austrjackim

(1872 — 1918)

Szczegóły historyczne.*)

W olbrzymie knieje Karpat, Beskidu i całego lesistego niżu, w których z namiętnością myśliwską, aż do zapamiętania, polował Jagiełło, a z niemniejszą pasją i wielki miłośnik łowów, Sobieski — wkracza w 1772 r. wraża stopa chciwego zaborcy w czapce z bączkiem.

W dobie zajęcia „Galicji“ przez Austrję, przedstawiały się stosunki gospodarczo-ekonomiczne kraju zgoła niepomyślnie. Organizacja produkcji i zbytu tak w zakresie rolniczo-lasowym, jak i handlowo-przemysłowym, zostawała znacznie w tyle za stosunkami w krajach zachodnich, co zresztą zrozumiałe było ze względu na ogólne rozprzężenie kawałkowanej Polski. Zależnie od tego nieinaczej też przedstawiał się stan łowiectwa, tak w całej Polsce, jak i w odłączonej od niej „Galicji“.

Od czasów Bolesława Chrobrego stanowiło łowiectwo jeden z przywilejów panujących, a zczasem, wielmożów i szlachty. Stan ten przetrwał wieki i takim też przedstawiał się u schyłku XVIII i początku XIX wieku w „Galicji“.

Szlachta uprawiała łowiectwo z wielkiem upodobaniem, zaprawiając się w niem do rycerskiego zawodu, jednak bez zachowywania racjonalnych ograniczeń lub ekonomji, liczącej się z przyszłością. Tu i ówdzie trafiali się wprawdzie myśliwi-hodowcy, ogół jednak stosował w łowiectwie metody coraz mniej odpowiadające warunkom zmienionym. Wzrost kultury rolnej pociągał za sobą ubożenie kraju w lasy, a z tem nierozdzielnie łączyło się rozmnażanie zwierzyny, raczej tępionej, niż racjonalnie odstrzeliwanej. Na straży łowiectwa stały właściwie bardziej prawa zwyczajowe, niż ustawy pisane. Taki stan rzeczy uniemożliwiał ustalenie jednolitego systemu gospodarki łowieckiej, skąd też nierówna wartość jej w różnych okolicach kraju. Plagą też prawdziwą tych czasów było rozchwaszczenie nadmierne kłusownictwa, nieprzebierającego w środkach i nieoglądającego się na skutki niecnego rzemiosła. Poza tem polować wolno było każdemu, gdzie mu się podobało, wobec czego stan zwierzyny był marny.

W 1786 r. zniósł Józefiński patent o polowaniu obowiązujące w Austrji ustawy z 1782 i 1743 r., zwracając zwłaszcza uwagę na sprawiedliwe używanie praw właścicieli polowań, tudzież ochronę rolnictwa przed „zbyteczną żądzą myślistwa“.

Prawo polowania przysługiwało według tego patentu właścicielom dominikalnym także na gruntach poddańczych, przyczem uwzględniono też interesy rolnictwa, ale — co najważniejsze — nie oznaczono żadnego czasu ochronnego dla zwierzyny w porze jej lęgu i rozpłodu.

Wykonywanie prawa polowania mogło być sprzedane lub wydzierżawiane z wyłączeniem jednak od tego włościan i mieszczan, „iżby onymże przez to sposobność dawana była do zaniedbywania gospodarstwa i rzemiosła“.

Wydane przepisy wszakże niewiele zdołały wpłynąć na zmianę stosunków łowieckich, ponieważ za mało liczyły się ze stanem gospodarczym kraju i jego właściwościami ówczesnemi. Usunąć braki te miał patent z 7 marca 1849 roku, obowiązujący na mocy patentu z 23 października 1853 r. także w „Galicji“. Najważniejszem jego postanowieniem było zniesienie polowań szlachty na gruntach włościańskich (bez odszkodowania) i zezwolenie na wykonywanie polowań właścicielom obszaru, wynoszącego przynajmniej 200 morgów. Na gruntach właścicieli małorolnych miała wykonywać prawo polowania, w ich imieniu, gmina, przez własnych myśliwych, lub wydzierżawiać je w drodze licytacji. Ponieważ jednak zachodziła obawa, iż gminy w interesie kultury rolnej wytępią zwierzynę, przeto w 1852 r. zniesiono powyższe prawa gminy, działając na rzecz ochrony interesów myślistwa. Postanowiono zwłaszcza, iż gmina musi wydzierżawić polowanie na gruntach rustykalnych w drodze licytacji publicznej.

Dla przekonania się o celowości nowych przepisów, zarządziło ministerstwo spraw wewnętrznych w 1855 r., zapomocą rozesłanych kwestjonarjuszy ankietę, która miała zadecydować o zarządzonej przez cesarza rewizji ustawy łowieckiej. Rozesłane formularze zawierały następujące rubryki: 1. poczta nr..., 2: okręg, 3. polowania gminne (liczba, powierzchnia, kwota dzierżawna), 4. karta dzierżawna, obliczona w stosunku do obszaru, 5. wysokość czynszów dzierżawnych, 6: dzierżawcy (włościanie i drobni przemysłowcy, właściciele dóbr i fabrykanci), 7. kompleksy łowieckie (ilość, powierzchnia), 8. uwaga.

Wynik tej ankiety najlepsze daje pojęcie o stanie łowiectwa galicyjskiego w połowie XIX w. Przeważająca większość władz obwodowych odpowiedziała, iż nie jest w stanie dostarczyć wykazu, obejmującego wszystkie gminy, ponieważ ani patent z 7 marca 1849 r., ani rozporządzenie ministerjalne z 15 grudnia 1852 r. nie weszły w kraju (w Krakowskiem) w życie, a rozporządzeniem namiestnictwa galic. z 15 marca 1853 r. uregulowanie łowiectwa w „Galicji“ odłożone zostało do czasu, kiedy uporządkuje się sprawy gminne, przeprowadzi się polityczną organizację i wejdzie w życie patent o broni z 24 października 1852 r. „Poza tem łowiectwo ogranicza się tu przeważnie do polowania na dziką zwierzynę, a zwierzyna pożyteczna znajduje się z reguły tylko w ochronnych rewirach i w znaczniejszych posiadłościach gruntowych, w których prawo polowania przysługuje właścicielowi“.

*) OD REDAKCJI. W numerze dzisiejszym zapoczątkowaliśmy druk pracy p. Seweryna Krogulskiego, napisanej na żądanie Ministerstwa Rolnictwa, dla urzędowego wydawnictwa p. t. **„Stosunki gospodarcze ziem polskich w trzech zaborach“**.

Ponieważ to dzieło zbiorowe wydane będzie w ograniczonej tylko ilości egzemplarzy dla użytku urzędowego, poczyniliśmy więc starania, aby i Członkowie nasi oraz Czytelnicy „Łowca“ mogli przyjrzeć się bliżej łowiectwu rodzimemu od samego początku epoki zaborczej aż po jej koniec.

Literaturę, która w rękopisie pracę tę poprzedza — zamieścimy na końcu.

W piśmie obwodu zaznaczono też, że gminy nie mają żadnego, albo też bardzo nieznaczny dochód z wydzierżawienia polowań i dlatego przeważnie odstąpiły je bezpłatnie swoim dziedzicom.

Przez wprowadzenie w życie 29. września 1855 r. organizacji władz politycznych, zniesienie stanu oblężenia, rozporządzenie o broni, oraz ogłoszenie prowizorycznej ustawy gminnej z 21 października 1856 r. usunięto przeszkody w zaprowadzeniu patentu łowieckiego z 7 marca 1849 r. i gruntującego się na nim rozporządzenia dodatkowego z 15 grudnia 1852.

Nowe stosunki wpłynęły nieco pomyślniej na rozwój łowiectwa w „Galicji“. Dowodem służyć może sprawozdanie władzy obwodowej w Jaśle z 1859 r. W trzech powiatach tego obwodu (pow. Gorlice, Biecz i Brzostek) było razem 119 polowań gminnych, o łącznej powierzchni 115.699 morgów, wydzierżawionych za 129 fl. w. a. przez 40 dziedziców lub dzierżawców dóbr; uprawnionych do polowania obszarów gminnych było razem 100, o łącznym obszarze 56.496 morgów. Natomiast powiat Frysztak oświadczył, że „dochód z wydzierżawiania byłby tak znikomo mały, iż nie pokryłby nawet części szkód, spowodowanych polowaniem“. W powiecie zaś Żmigrodzkim nie wydzierżawiono żadnych polowań, ponieważ „ani jedna gmina nie posiadała i nie używała prawa polowań, które wykonywali tylko dziedzice“.

Stosunki łowieckie przedstawiały na ogół obraz zgoła niepocieszający. Przestrzenie łowieckie były „własnością niczyją“, bez opieki ochrony i prawa; prócz zagospodarowanych prawdziwie po myśliwsku rewirów, cały prawie kraj pustką był pod względem zwierzostanu. Widoki jednak dla rozwoju łowiectwa otworzyły nowe postanowienia ustawy. W tych bowiem czasach zawiązało się pierwsze w „Galicji“ towarzystwo myśliwskie, które wydzierżawiło polowanie na obszarze około 30.000 morgów, należących do skarbu państwowego, a obejmującym rewiry: lisowicki, bolechowski i taniawski, u stóp Beskidu stryjskiego. Towarzystwo to, zwane „Lisowitzer Jagd-verein“ składało się z nieznacznej liczby członków — przeważnie niemców.

Historję tych rewirów w okresie 1859—1871 roku zawiera rękopiśmienna księga p. t. „Lisowitzer Jagd-Protokoll“.

Słynne były polowania lisowickie, w których udział brały najwybitniejsze osobistości, przeważnie dygnitarze i generałowie austrjaccy, a nawet dnia 30 października 1851 r., cesarz Franciseek Józef I. Padło wówczas 18 rogaczy, 4 lisy, 8 dzików, 2 zające i 1 słomka, a na pamiątkę, zasadził cesarz w miejscu, gdzie ubił dzika, własnoręcznie dęba, do dziś rosnącego. W 1871 r. przeszły rewiry lisowickie w ręce polskie. Wydzierżawili je myśliwi najsłynniejsi w kraju, mianowicie: Kazimierz hr. Wodzicki, Leopold hr. Starzeński, St. hr. Stadnicki, Alfred hr. Borkowski i W. Hudetz i stworzyli „Towarzystwo Lisowickie“, z ograniczoną liczbą członków-łowców bez skazy i zmazy! Dzięki wielkiemu znawstu myślistwa i niestrudzonej energji Kazimierza hr. Wodzickiego wzbogacony został zwierzostan lisowicki po dawnem wyniszczeniu i wnet poczęli Lisowczycy zdobywać obfite pokoty myśliwskiego łupu. Nie dziw też, że na Krajowej wystawie 1894 r. otrzymało Towarzystwo dyplom honorowy ministerstwa rolnictwa. Towarzystwo to — ta akademia łowiectwa polskiego — istnieje do dziś, chociaż przejścia wojenne bardzo ujemnie odbiły się na stanie zwierzyny i na majątku Towarzystwa; zniszczeniu bowiem uległ dworek myśliwski, a z nim i muzeum „Zakonu Lisowczyków“, zawierające okazy fauny wspomnianych rewirów.

Dobry przykład i skuteczna działalność Towarzystwa lisowickiego zachęciły do założenia w 1876 r. nowego towarzystwa myśliwskiego, które w krótkim czasie — wykazując od samego początku istnienia wzorową organizację — zaważyło bardzo na losach łowiectwa galicyjskiego. Założenie **„Towarzystwa im. św. Huberta we Lwowie“** przypada w okresie wprowadzenia w życie ustawy łowieckiej (1875), co początek dać miała nowej dobie myślistwa w „Galicji“. Kładąc bowiem kres samowoli, ustaliła jednocześnie prawa właścicieli polowań, a zarazem baczną zwróciła uwagę na nierozerwalny związek łowiectwa z rolnictwem i leśnictwem.

Lisowice objęły wyłącznie sferę dostatnio uposażonych myśliwych, w Towarzystwie zaś im. św. Huberta zgrupowali się przeważnie przedstawiciele sfery urzędniczej i zawodów wolnych. Dzięki sprężystemu kierownictwu, zyskało Towarzystwo imponującą przestrzeń obszarów łowieckich, obejmującej zwyż 100:000 morgów, podzielonych na 12 rewirów. Wypadki wojenne odbiły się fatalnie i na Towarzystwie im. św. Huberta, które właściwie istnieć przestało, nie mając na razie możności odrodzenia się z popiołów.*)

Na wzór i na statutach Towarzystwa imienia św. Huberta, zawiązało się w kraju kilkadziesiąt towarzystw myśliwskich, po miastach powiatowych.

Bliźniaczo mu podobne jest „Miejskie Towarzystwo Myśliwskie“ we Lwowie, założone w 1862 r. W tym czasie nieliczne grono mieszczan lwowskich, przeważnie członków konfraterni strzeleckiej, wydzierżawiło od Gminy m. Lwowa prawo polowania we wszystkich jej dobrach. Towarzystwo rozwijało się bardzo pomyślnie. W 1902 r. otrzymuje wzorowy statut i regulamin, który zastąpił obowiązujące dotąd prawo zwyczajowe. Równocześnie zaprowadza Towarzystwo w rewirach dzierżawionych wzorową gospodarkę łowiecką, zmierzającą wytrwale do podniesienia zwierzostanu. Wypadki wojenne zrządziły jednak w tych rewirach ogromne szkody, dużo więc czasu i wkładów potrzeba, by je powetować.

Właściwe jednak i jedyne do dziś ognisko, w którem ześrodkowała się wszechstronna, żywa i celowa działalność w dziedzinie łowiectwa — stanowi **„Galicyjskie Towarzystwo Łowieckie“**, założone w 1876 r., pierwsze z towarzystw polskich wogóle, które zajęło się wyłącznie gospodarką łowiecką w całym kraju. Zasługę powstania tej pożytecznej instytucji zawdzięcza się niezapomnianemu miłośnikowi przyrody ojczystej, Włodzimierzowi hr. Dzieduszyckiemu, twórcy wspaniałego muzeum i „wielkiemu ojcu“ całych pokoleń prawdziwych

*) Obecnie pomyślnie się rozwija.

myśliwych, wyrobionych w jego szkole. Współpracowali z nim: Kazimierz hr. Wodzicki i Konstanty Pietruski.

Wprowadzić w anarchję myśliwską ład, sprostować błędne zapatrywania, wpoić poszanowanie prawa, wyrobić szlachetniejszy sposób pojmowania łowiectwa, wszczepić etykę myśliwską, upomnieć się o szereg postanowień niewykonywanych lub lekceważonych — oto cele Gal. Tow. Łowieckiego. Najwalniejszym środkiem realizowania tych zadań było założenie w 1878 r. czasopisma **„Łowiec“**, tudzież urządzanie Zjazdów myśliwskich z popisowem strzelaniem, oraz wystaw łowieckich i psów myśliwskich, a także ustanowienie delegatur we wszystkich powiatach kraju, działających według regulaminu i uchwał Wydziału. Energiczną działalnością spowodowało to Towarzystwo naczelną władzę rządową do wydania dodatkowych do do Ustawy zarządzeń, wśród których najdonioślejsze, iż wszelkie sprawy, dotyczące wydzierżawiania prawa polowań gminnych, odstrzału zwierzyny, zamykania polowań i t. p. załatwiały starostwa jedynie na podstawie fachowych orzeczeń G. T. Ł., które w ten sposób stało się ekspozyturą rządu w sprawach łowiectwa krajowego, pozostając nią do chwili obecnej.

Znaczne też zasługi na polu łowiectwa i zachowania dlań należnego mu stanowiska w kraju, położyły większe rewiry łowieckie, których właściciele nie żałowali ogromnych nieraz wkładów, by pomnożyć stan zwierzyny, zapewnić jej swobodny rozwój, ochronić przed kłusownikami i drapieżnikami. W tym względzie dobrym zwłaszcza przykładem były zarządy ogromnych obszarów leśnych w posiadaniu rządu, dawnych dóbr stołowych i królewskich.

Ze znakomitszych rewirów prywatnych z licznym zwierzostanem, wspomnieć należy ordynację Poturzycką Dzieduszyckich, Lubień Brunickich, Krzeszowice Potockich, Krysowice Stadnickich, Łańcut Potockich, Skole i Wełdzirz Groedlów, Jagielnicę, Rozdół i Komarno — Lackorońskich, Przeworsk Lubomirskich, Tenczynek Potockich, Wysuczkę Czarkowskich - Golejewskich, ogromne rewiry iasowe brodzkie i łopatyńskie i fundacji Skarbkowskiej, Bilcze złote i Krasiczyn Sapiehów, Bilcze Koliszerów, Borynicze Mycielskich, Uhrynów Rylskich, Perehińsko Metropolji grecko kat., Rozhurcze Barańskich, Toporów Baworowskich i wiele innych, znanych chlubnie myśliwym z poza słupów granicznych zjednoczonej dziś Polski.

Nawałnica wojenna odbiła się dotkliwie na rewirach „galicyjskich“, w których rozpleniły się nietępione wszelkiego rodzaju szkodniki, z ogromną niekorzyścią zwierzyny łownej, wygubionej przez rozmaite wojska, przewalające się czasu wojny przez ten kraj nieszczęsny. Energicznej też trzeba będzie pracy, a nawet specjalnych ustaw ochronnych, by tamę położyć zupełnemu zanikowi tej zwierzyny, odbudować zniszczoną gospodarkę leśną i wogóle przywrócić łowiectwu chociażby stan przedwojenny, który pozwalał rokować najlepszą przyszłość tej pożytecznej gałęzi gospodarstwa krajowego. Wojna jednak brutalnie przekreśliła wszystkie nadzieje i doszło do tego, że tyle zasłużone G. T. Ł., które nawet czasu ciężkiej inwazji rosyjskiej zdołało wytrwać na posterunku, musiało z dniem 1 listopada 1918 roku, t. j. po wkroczeniu Rusinów do Lwowa — wydawnictwo „Łowca“ zawiesić, odkładając je do pomyślniejszych czasów.

C. d. n.



JÓZEF HR. POTOCKI

Z obcych światów

Nad Setitem

(Kartki z wyprawy myśliwskiej)

Ciąg dalszy

6. marca.

Dziś opuszczamy Setit i z prawdziwym żalem żegnamy urocze brzegi tej pięknej rzeki, która dostarczyła nam sporej wiązanki najmilszych wrażeń myśliwskich i zaopatrywała nas zawsze w świeżą, zdrową i czystą wodę. Kto zaś w Afryce polował, pojmie niezmiernie doniosłe znaczenie tego istotnego skarbu, jakim jest rozporządzanie pod ręką rezerwoarem zdrowej i czystej wody, którą dla całej karawany wedle potrzeby zawsze czerpać można. Nie wszystkie dopływy obu Nilów tą doniosłą zaletą Setitu pochwalić się mogą.

Mętne nurty Białego Nilu są niezdrowe i dla ludzi wręcz szkodliwe, gdyż zawierają podobno miazmaty febry i malarji; Rahad zaś, Dinder, w zimowej porze t. zw. „dry season“, są przeważnie wyschnięte i tylko kamienistem korytem wskazują łożyska rwących potoków, którymi płyną w porze deszczowej.

Wchodzimy znowu w słonie rewiry. Liczne stada tych gruboskórców budzą nadzieję, że może uda się nam

jeszcze się z niemi spotkać. Wysyłam shikari po informacje u krajowców, gdzie słonie do wodopoju przychodzą, aby jutro wczesnym rankiem wyprawę na nie urządzić.

Po krótkim marszu stajemy w Sofi, zajeżdżając do ładnego, kamiennego rest-house'u nad rzeką Atbarą. w którym staliśmy przedtem. Główny pokój zastajemy zajęty przez Anglika, inspektora szkółek ludowych, po całym kraju przez rząd angielski dla krajowców zakładanych. Widomy dowód cywilizacyjnej misji Anglików, nawet w tym, tak zapadłym kącie, czarnego kontynentu.

Czy jednak z biegiem czasu ta „oświata“ nie odwróci się przeciwko okupantom, jak to n. p. w Indjach i Egipcie jaskrawo na jaw występuje, to już inne pytanie, aczkolwiek murzyni, jako rasa niższa i nie podległa jeszcze prądom nacjonalistycznym, znacznie więcej dla Anglików mają sympatji, niż Hindusi lub Arabowie. Zauważyłem, że w Sudanie każdy krajowiec Egipcjanin, który ukończył wyższą szkołę t. zw. Gordon College w Chartumie, założoną olbrzymim sumptem przez rząd angielski, na cześć sławnego Gordona — wychodzi z tejże szkoły, jako tajny, ale zacięty wróg Anglji i przyłącza się odrazu, jako płomienny agitator, do nadzwyczaj silnie rozwiniętego antyangielskiego ruchu nacjonalistycznego w Egipcie.

W Sudanie ruch ten jest mniejszy, a nawet może jeszcze wcale nie istnieje, ale trudno przypuścić, aby z biegiem czasu i tu się nie przedostał.

Wracam jednak do Sofi — do szkółki ludowej, przed którą, na ogromnem boisku, małe murzynki, jak czarne djabełki, zabawiają się w foot-ball. Sam inspektor — nader sympatyczny, wykształcony i kulturalny człowiek, doskonale znający kraj i ludzi tutejszych, przytem sportsman zawołany, gentleman w całem tego słowa znaczeniu. Mimowoli nasuwa się w myśli porównanie, niezbyt pochlebne dla tej samej kategorji ludzi w „innych“ krajach, nam bliższych.

Roztasowujemy się na werandzie, w niezajętym przez Anglika pokoju, w najlepszej z nim komitywie i zdejmujemy fotografję z ogólnej kolekcji naszych trofeów, rozłożonych na werandzie. Zbiór rogów, zdobytych w tak krótkim czasie imponująco wygląda i Anglik wydziwić się nie może rezultatowi naszej wyprawy.

Chłopcy polecieli jeszcze za perliczkami i po chwili przynoszą ich z pół tuzina na obiad. Ja naradzam się z łowcami nad jutrzejszą wyprawą na słonie i zastanawiam się nad programem dalszego marszu do Gedaref.

7. marca.

Dziś minęło trzy tygodnie, jak przybyliśmy do Sofi forsownym marszem z Gedarefu. A więc samo polowanie nad Setitem równo 21 dni nam zajęło. Ileż to silnych wrażeń i ciekawych epizodów przeżyliśmy w ciągu tego czasu nad tą przepiękną rzeką! Ale na tem nie koniec jeszcze, bo dzień dzisiejszy znów złotemi zgłoskami w kronice naszej wyprawy zapisać należy.

Gwiazdy jeszcze świeciły, gdy chłopcy w towarzystwie najlepszych shikarich, z zapasem wody i pożywienia, ruszyli na podchód słoni. Anglik-inspektor też o świcie gdzieś w drogę się puścił i ja sam zostałem. Plan dnia był ułożony w ten sposób, że ja miałem w obozie czekać do południa i, stosownie do rozwoju wypadków, albo zwinąć tabor i ruszyć za myśliwymi do Gedaref, albo na miejscu wyczekać ich powrotu. Tymczasem wybrałem się z moim Mohamed-el-Aminem i krajowcem do noszenia broni, na spacer po dżungli. Niezmiernie lubię takie przechadzki samotne po afrykań-

ST. R. R.

Z mego pamiętnika myśliwskiego.

„Spytkowice“.

W pogodny wieczór wrześniowy, w roku 1920, siedziałem na skraju lasu, na drodze między Pilznem a Tarnowem, mając u stóp niewielki stawek i marzyłem o czasach, gdy o tej porze żyłem w ciągłej gorączce polowaniowej, mając jedynie na głowie ten kłopot — aby pogoda dopisała. Marzenia me wywoływały tem przykrzejsze refleksje, że czasy wówczas były bardzo gorące, a trudy 7-letniej służby wojskowej i tułactwa, zrobiły w mem zdrowiu nie małą szczerbę. Myślą przenosiłem się w dalekie strony w okolice Zatora, gdzie nad wodami tych cudnych spytkowickich stawów w tej chwili koncert nad koncertami odbywać się musi. Ej! te tafle wód, to ciemnych, to lśniących purpurą zachodzącego słońca, kryły dla mnie zawsze tyle cudów, tyle niezapomnianych chwil wspomnieniem mnie tam ciągło, że nie dziw, iż popadłem w pewnego rodzaju sen na jawie. Nagle drgnąłem — nad głową posłyszałem świst kaczki i trzy krzyżówki, okrążywszy jeziorko dokoła, zapadły po drugiej stronie na wodę. Tego było już za wiele. Postanowiłem w jednej chwili wytężyć wszelkie siły, aby jednak w Spytkowicach być choć raz jeden jeszcze w życiu i mimo, że w danej chwili nie miałem pojęcia, jak się do tego zabrać, siadłem na mego „Harley'a“ i tempem, o wiele dowolną szybkość przewyższającym, popędziłem do Tarnowa, gdzie siadszy przy aparacie telefonicznym, w niespełna godzinę, miałem urlop na 14 dni.

Projekt mój był o tyle możliwy do urzeczywistnienia, że miałem przedtem łaskawie wydane mi pozwolenie zapolowania.

Zatelefonowawszy zatem, że przyjeżdżam, uzbroiłem się w cierpliwość i przez następne dwa dni poczyniłem przygotowania na ową wyprawę: Spakowałem wszystko, co mi do szczęścia przez 6 dni na stawach było potrzebnem, zrobiłem próbę zdolności mego służącego, który, jako kucharz jakiegoś hotelu poznańskiego, okazał się doskonały i wraz z nim, przy wspaniałej pogodzie, wysiadłem na stacji Krzeszowice. Tam oczekiwały mnie konie, więc nie zwlekając, ulokowawszy dość liczne pakunki, w doskonałym humorze ruszamy. Przeświadczenie, że jadę do tych ukochanych Spytkowic, obecność mego wiernego browninga, trzech kufrów — torb pełnych naboi, rasowy turkot powozika, a przedewszystkiem okolica, w której od dziecka przebywałem, sprawiły, że w tej chwili nic do szczęścia nie było mi potrzeba. Nie dziw

skiej głuszy. Rankiem upał jeszcze nie dokuczliwy, na niebie ani chmurki, przy ziemi trochę jeszcze mgły i nocnych oparów. Uwaga wciąż natężona możliwością spotkania zwierza od najgrubszego do drobnych gazelli.

Dziwnym trafem, w tem samem miejscu, gdzie za pierwszym razem koło Sofi, znów spotkałem zajączka i upolowałem go na pieczyste. Potem usiadłem nad rzeką Atbarą i przypatrywałem się małpom i gazellom, igrającym na przeciwległym brzegu. Gazelle ściągały z góry do wody, ale zwierz tu taki czujny i płochliwy, że czasem godziny mijają, zanim zdecyduje się zejść do wody. Na próbę zaryzykowałem strzał na jakie 400 kroków i zdziwiło mnie, że sztuka z kulą w komorze padła na miejscu. Mannlicher od Springera istotnie znakomity i teleskop nieocenione oddaje usługi.

Koło Sofi dżungla stratowana przez słonie; formalne, na metr szerokie trakty, wydeptane ich przechodami i tak pokryte pomiotem, że się chodzi po ścieżce, jakby umyślnie nawozem wyścielonej.

Godzina pierwsza. Spożywam śniadanie i z niecierpliwością wyczekuję wieści od chłopców.

Wtem wpada zziajany goniec Bahid, gunbearer Romka, z ustną relacją, że Panowie trwają w pochodzie i proszą, abym tabor zwinął i drogą na Gedaref podążał za nimi, bo słonie ich tamtędy prowadzą. Niema więc racji tracić czas na powrotną drogę do Sofi, skoro jutro musieliby ją powtórzyć. Uznając słuszność ich wywodów, daję rozkaz natychmiastowego zwinięcia taboru, a w godzinę później byliśmy już z całą karawaną na trakcie gedarefskim.

Po paru godzinach marszu ujrzałem pędzącego naprzeciw mnie murzyna, wymachującego rękoma. Przypadł do mnie z okrzykiem radości:

— Wielkie szczęście, panie, słoń zabity!

Wierzyć mi się nie chciało. Śpieszyłem dalej i słońce miało się już ku zachodowi, wieczór zapadał łagodny i świetlisty, gdy spotkałem chłopców, czekających na mnie na trakcie, uszczęśliwionych świetnym sukcesem.

Oto opis całego epizodu z dzienniczka Józia i jego pióra:

„Przed świtem ruszam z Romkiem, w towarzystwie całego kompletu naszych łowców i przewodników z Achmetem Karumą na czele. Po dwu godzinach marszu natrafiamy na świeży trop słonia pojedynka, prowadzący do rzeki, a zatem z nocy — następnie na jeszcze świeższy od rzeki, a więc z dzisiejszego ranka. Po niejakim czasie trop pojedynka schodzi się z śladami kilku innych sztuk. Tropienie łatwe, ale dżungla niezmiernie gęsta, zwarta i kolczasta, z trudnością się więc przedzieramy. Sądząc ze świeżego pomiotu, słonie mają nie więcej nad jedną do dwu godzin awansu przed nami. O godzinie 10-tej krótka pauza, dla wytchnienia i spożycia przekąski i marsz dalej. Jesteśmy zdecydowani nie porzucić tropu, choćby do samego wieczora.

„Raptem — a mogło to być koło południa — zupełnie nieoczekiwanie, bez uprzednich wysłuchów ani szmerów, shikari Ibrahim, idący przedemną, odwraca się i podaje mi sztuciec Rigby, nabity owemi jedynemi pięciu kulami o stalowych stożkach, jakie posiadaliśmy.

„Chwila strasznego napięcia i emocji... Niedalej, jak o 40 kroków, widzę przed sobą ogromny łeb słonia i miarowe falowanie uszu, któremi się wachlował. Obraz nie do zapomnienia! Kolos ten, zwłaszcza w porównaniu z karłowatą dżunglą i niskiemi drzewami, wydał mi się nieproporcjonalnie wielkim i potężnym.

---

też, że droga dłużyła mi się niepomiernie i choć rad patrzyłem na wszystko, cośmy mijali, jednak chciałbym już być na miejscu. Nareszcie mijamy most na Wiśle, wjeżdżamy do wsi Spytkowice, mijamy i tą, wreszcie widzę gajówkę, a przed nią strzelca Ziębę i settera „Riga“. Tak jeden, jak i drugi zasługuje na uwagę. Pierwszy — po ojcu swoim odziedziczył posadę, myśliwy zawołany, zdrowia niezdartego, pochodził z tej przedwojennej jeszcze szkoły, gdzie poza obowiązkiem i bałwochwalczem wprost umiłowaniem łowów, nie było dla niego ani własnych interesów, ani mógł przypuszczać, że coś na świecie może dziać się — nie dla polowania. Drugi — setter, czarny, podpalany, pochodził też z dobrego źródła — bo kupiony w poznańskiem z rodowodami, tutaj, pod kierunkiem Zięby, pierwsze swe kroki myśliwskie poczynał. Niezapomniane mi są te dwie istoty, tak ze sobą zharmonizowane, że gdy się tylko jednego widziało, to czegoś było brak. Po przepakowaniu części rzeczy do gajówki, gdzie miałem sypiać, zaczynam z niecierpliwością indagować Ziębę, jak z kaczkami? — ten, jak zwykle przed polowaniem bardzo małomówny, poprawia swą przepaścistą torbę i powiada: „żeby tylko naboi nie brakło“. A zatem o tem tylko myślał! Gdym mu pokazał kuferki i gdy je, nie wierząc, podniósł, czy aby nie próżne, odrazu mu się mina wyjaśniła i zupełnie już odmieniony, zaczął opowiadać, że część stawów już spuszczona, kszyków bardzo dużo, ale lepiej się z nimi nie zawiele zabawiać, bo kaczek szkoda, skoro i tak bardzo są już lotne. Siadamy zatem i jedziemy już prosto na stawy. Boże! jakże doczekać się nie mogłem! Stawów jeszcze nie widać, zasłaniają je zazdrośnie drzewa, które z tej strony tworzą jakby sztuczną zasłonę. Nagle, równocześnie z turkotem kół na mostku, zasłona odsłania się i widzę „Folwarcznik“, jeden, drugi, na prawo „Artura“, z jego rojnemi zawsze „okami“ i całą tą wielką bardzo, bo blisko 2.800 morgów liczącą przestrzeń, równą, jak stół. A więc, jestem! — tak, — to te same groble, te same szuwary, tyle razy oglądane, a nigdy nie napatrzone. Na czystej wodzie „Folwarcznika“ widać już łyski, a tam pod szuwarem, daleko, błyska białą piersią perkoz ostrożny. Stajemy — owiewa mnie zapach stawów i błot, do uszów dolatują najprzeróżniejsze szepty, to ciche, to głośne, zupełnie jak szmery za wielką kurtyną życia, która za chwil kilka odtworzy swe cuda. Z uczuciem, jakby mnie kto za gardło dusił, wysiadam i złożywszy browning, słucham, jak Zięba wydaje dyspozycje dwóm gajowym, jak mają zajść „Różę“, bo od niej mamy dzisiaj zacząć. Wszystko ułożone, polecam jeszcze furmanowi, aby resztę rzeczy odwiózł do gajówki i — ruszamy. „Rigo“ o dwa kroki naprzód, lecz skarcony, wraca do

„Wówczas Achmet Karuma, przytomny i spokojny, wyszedł na pierwszy plan i począł ostrożnie do zwierza się podkradać. Ja za nim, za mną Romek i reszta shikarich. Słoń stał tyłem do nas; po prawej jego stronie spostrzegłem drugą sztukę mniejszą, nieruchomą, widocznie drzemiącą. Obeszliśmy je już z lewej strony, gdy wtem słoń, ten duży, widocznie coś zmiarkował, bo przestał uszami wachlować i postąpił krok naprzód, pokazując całą głowę z profilu.

„Teraz, albo nigdy !— pomyślałem, a usłyszawszy jeszcze głos Romka: „Strzelaj“! — zmierzyłem do łba i wypaliłem. Po mnie Romek dwa razy grzmotnął ze Springera. Słoń, trafiony śmiertelnie, zatoczył się, potem osunął na kolana — ale nie upadł. Reszta stada, jak grzmot, przewaliła koło nas. Odskoczyliśmy na bok, ześrodkowując całą uwagę na rannej sztuce, która czyniła widocznie wysiłki, aby powstać i za resztą pogonić. Strzeliłem jeszcze raz, a Romek dwa razy wypalił; po tej salwie olbrzym zwalił się na ziemię o ośm kroków od nas. Leżącemu już, jeszcze piątą kulę wpakowałem.

„Był to duży, wyrośnięty samiec, ale kły miał niezbyt wielkie, jak zwykle u abissyńskich słoni“...

Taki jest opis Józia tego pamiętnego spotkania ze słoniami, które „last not least“ ukoronowało ostatnią sztuką bogaty rozkład naszej wyprawy. Finis coronat opus!

Słoń był równo sześćdziesiątą sztuką w rejestrze ubitej przez nas zwierzyny, nie licząc drobnej i ptaków. Lwią część rozkładu, w ścisłem i istotnem tego słowa znaczeniu, przypadła w udziale Romkowi; na resztę złożyliśmy się obaj z Józiem, któremu, dzięki jego pierwszej stalowej kuli, słonia zapisuję — całość wszakże uważamy za wspólny dorobek naszych myśliwskich zabiegów.

Wesoły obiad, szampanem oblany i miły wieczór, pod wrażeniem udanej zdobyczy łowieckiej, w obozie, rozbitym naprędce na drodze gedarefskiej, wśród dzikiej dżungli i mateczników najgrubszego zwierza, z któremi nazajutrz mieliśmy się już pożegnać, był jakby finałem naszej ekspedycji.

Dok: nast.



nogi i drżąc całem swem rasowem ciałem, z nosem do góry wzniesionym, wydaje się uosobieniem oczekiwania. Wchodzę na małą grobelkę — z tej strony mogę już objąć okiem kawał błotka, a na niem mnóstwo czajek i najprzeróżniejszych mew, kulików i całe to ruchliwe i krzyczące państewko. Dochodzę do krzaku ostrężyn — w tej chwili widzę, jak z przeciwnej strony stawu wchodzą obaj gajowi wraz z Ziębą w szuwary, chwilkę giną mi z oczu — lecz już zaczyna się akt pierwszy cudnego przedstawienia; już kszyk jeden, drugi, trzeci zerwał i — jak kulka czarna, szybuje kawałek, a potem młynkiem zapada znowu. W tem z głośnem łomotem zrywają się dwie kaczki — tire haut — ciągną nieco na lewo, nagle skręcają prosto na mnie, jeszcze chwila — i dwoma strzałami spadają mi obydwie pod nogi.

Tak mnie Spytkowice przyjęły. Lecz była to tylko przystawka, uczta prawdziwa rozpoczęła się dopiero potem, strzelałem jak w gorączce, nieraz tracąc zupełnie rachubę, gdzie, co i ile spadło. Dopiero „Rigo“. jakby główny rachmistrz, zliczał wszystko, niezmordowany był w tej pracy. Raz po jednym miocie wyniósł po kolei 21 kaczek i przekonany jestem, że żadnej nie zostawił. Te zaś ciągi bajeczne na starem Wiślisku, po których głowa mnie zawsze bolała i ramię puchło! — niewiem doprawdy, co było najładniejsze. Żyłem przez te 6 dni jak w zaczarowanej krainie, jadając obiady na stawach gdzie mój Szyszka przyrządzał je na polowej kuchence. Wprawdzie, menu nie było urozmaicone, bo krzyżówki zmieniały się nawzajem z cyrankami, a te z kszykami i na odwrót — ale mieliśmy i kompoty do tego, nawet piwo było zawsze „do stołu“ podanem. Nieraz, siedząc przy stoliku, zbitym z kawałków deszczek, widząc Szyszkę, jak nachylony nad piecykiem, dmucha co sił w piersiach, albo, jak we fartuchu (zdaje się, od jakiejś dziewczyny pożyczonym), niesie herbatę — miałem istotne wrażenie, że jestem gdzieś w dalekich krajach, może nawet tam, gdzie szczęśliwsi odemnie, podobne obiady jeść musieli, mając jednak stokroć silniejsze wrażenia w udziale.

Rezultatem tych 6-cio dniowych łowów było: dwie gęsi, 138 kaczek, 2 kulony i 55 kszyków, czyli razem 206 sztuk łownych ptaków, fura tego była, gdym wszystko do Krzeczowic odesłał. Te sześć dni pozostaną niezatarte w mej pamięci, budząc równocześnie zachwyt nad tamtejszemi stawami i wielką wdzięczność za pozwolenie polowania.

ST. ORSKI

Z łowów wysokogórskich.

Dokończenie



Rewir nie poniósł zatem uszczerbku, przeciwnie, zyskał, gdyż podchodząc w czasie godów, kiedy najłatwiej jelenie zejść można! Kiedy sam pięć razy na bliską odległość miałem spotkanie z dwoma dziesiątakami, moją obecnością w tym rewirze odjąłem innym „myśliwym“ lub „niemyśliwym“ możności wyrządzenia górskiej faunie krzywdy przez odstrzał młodych jeleni.

Tak samo przysłużył się każdy z **„myśliwych“**, bądź to swemu rewirowi, lub takiemu, do którego był zaproszony. Wiadomo mi, że bardzo wielu myśliwych ze Skolszczyzny, Doliniańskiego i Perehińska wróciło bez wieńców jedynie z tego powodu, ponieważ spotkane jelenie nie odpowiadały wymogom wysokogórskiego myśliwego; a w dwu powiatach górskich ubito wszystkiego cztery albo pięć jeleni.

Wysokogórski myśliwy jest tak we faunie górskiej rozmiłowany, otacza ją taką czcią i miłością, że krzywdy jej z pewnością nie zrobi; i jeśli jedzie na rykowisko, to dlań „złomek jedliny“ (choć pożądany za „prawdziwie myśliwską zdobycz“, godności myśliwego odpowiadającą), nie jest jedynym celem i leży poniekąd na dalszym planie.

Bezpośrednią przyczyną jego wyjazdu jest tęsknota do tych wirchów, bo kto kilka razy był w owym czasie w górach, nie potrafi już usiedzieć w domu. Ciągnie go woń balsamiczna górskich łąk, żywiczna lasów, ciągnie go ten las bukowy na stoku górskim, nad którym słońce tworzy dach z purpury i złota, ciągnie go cienisty, woniejący labirynt jodeł i świerków, ciągną go połoniny, łąki, w które noc rzuca brylanty rosy, a górska przyroda tak przecudownie stroi w srebro dziewięciosił, błękit gencjan lub róż wrzosów, ciągną go te bajecznie kolorowe szaty, w jakie na te gody cała przyroda się przyobleka, ciągnie go słońce, które w żadnym innym czasie nie rozwija tego przepychu barw i świateł, jak właśnie w czasie tych godów; wśród wirchów karpackich, ciągnie go piękno górskiej przyrody. Wpatrzony w te cudy, wsłuchany w rytm szemrzących potoków, w tajemniczy poszum drzew, przeniesiony jakby w inny świat, dostraja się doń rytmem swej duszy i żyje przez ten krótki czas nie tem przyziemnem życiem, wśród zgiełku, wrzasków, trosk i kłopotów, ale jakiemś innem, czystem, wyśnionem. Żyje, jak dziecko, innym, od ziemi oderwanem życiem, a choć serce jego zadrży na zew miłośny króla górskich wirchów i czai się nieraz drapieżnie, by przeciąć pasmo dni jego,... ale i ten poryw jest tylko jednym z ogniw, odpowiadających prawom przyrody i natury i z tą przyrodą i naturą jeszcze bardziej go zespala; bo śmierć w przyrodzie, jako naturalne zjawisko, widzi niemal codziennie, śledząc bacznie środowisko, w którem się obraca.

Jako zalotnica stroi się i rozwija powaby swych wdzięków, by przykuć bardziej do siebie kochanka, tak i ta przyroda otoczy cię, jak w baśni, całym swych wdzięków bogactwem, rozwinie cały swój majestat, by cię przykuć do siebie; a gdy się wsłuchasz w jej szepttajemniczy, usłyszysz: „byłeś mi bliski, odbiegłeś mnie, patrzaj, coś rzucił“!

I jakby za zdradę rzuca w serce i duszę posiew tęsknoty; opuszczając wirchy, tęsknisz i pragniesz znów się znaleść w tym ukochanym przez cie-bie środowisku.

Choć wrócisz bez złomka, nie żal ci nigdy tych chwil wśród tego przepychu barw, woni i blasków przeżytych; a wracasz jak bogacz, gdyż umysł twój i dusza o jedno wspomnienie, o niejedno spostrzeżenie są zamożniejsze.

Czytałem w jakimś, niepamiętnym mi opisie podróży, że w którymś kraju, o ile mi się zdaje, w Szwecji, a może w Norwegji, istnieje dawny, tradycyjny zwyczaj, że gdy myśliwy wstępuje na wyższy szczebel myślistwa i bierze udział po raz pierwszy w wysokogórskich łowach i pierwszą wysokogórską zdobycz osiągnie — starsi myśliwi z odpowiednim ceremonjałem pasują go na wysokogórskiego myśliwego, z czem związana jest pewna formułka przyrzeczenia, przezeń składanego.

Gdy o tem opowiadałem jednemu z nieżyjących już, ale znanemu ogólnie myśliwemu, oświadczył mi, że i u nas coś podobnego było, mianowicie, myśliwemu, który zdobył poraz pierwszy wieniec jeleni, kordelasem znaczono symbolicznie krzyżyk na czole, a on składał przyrzeczenie, że zawsze wystąpi w obronie słabszych (zapewne w przyrodzie). Jeżeli istniał taki zwyczaj, szkoda, że zaginął; odpowiada on bowiem w zupełności duchowej istocie każdego myśliwego o wyższej, myśliwskiej kulturze. Mam tu na myśli prawdziwych myśliwych, gdyż nie każdy, kto jedzie na rykowisko, już ipso facto staje się przez to wysokogórskim myśliwym. Wielu jedzie z tytułu swego dostojeństwa czy to lokalnego, czy krajowego lub państwowego, tacy przeważnie z myślistwem nie mają nic wspólnego; zdarzało się, że poraz pierwszy mieli broń w ręku i jeleń był pierwszą przez nich ubitą zwierzyną; byli tacy, którzy nie umieli się obchodzić z karabinkiem i przed rykowiskiem przechodzili praktyczny kurs strzelania; słyszałem o innych, którzy pytali, ile razy można repetować z podwójnego sztućca. Otóż

to nie myśliwi, takiemu będzie wszystko jedno, jakiego jelenia strzeli i taki gość, choć potrafi zastrzelić, nie potrafi być myśliwym. Czasem jednak dostojeństwo schodzi się z myślistwem i mamy wśród naszych dostojników znanych „par excellence“ myśliwych.

W odróżnieniu od takich przygodnych gości, których, czy to ze względów politycznych, czy z powodu kurtuazji, lub z innych względów, prosi się na rykowisko, prawdziwy myśliwy, który przez długoletnie doświadczenie swoje spostrzeżenia i znastwo przyrody nabył wyższą kulturę myśliwską, która go pasuje na „rycerza-myśliwego“, nietylko może, ale, jeśli ma ku temu sposobność, powinien być, w czasie godów jelenich, na posterunku, gdyż raczej uchroni rewir od krzywdy i szkody, jak je sam wyrządzi. Tak samo, jak taki myśliwy nie strzela w niewłaściwym czasie do dzików, wyjętych z pod ochrony, bo to się sprzeciwia prawu przyrody, zwłaszcza do samicy z prosiętami, jak nie strzeli do młodego rogacza, lub wogóle do rogacza ze śrutowej broni, lub do siedzącego zająca, do pożytecznej sowy, które nieraz na gremjalnych polowaniach na prawo i lewo się strzela i t. p., tak samo nie strzeli do niedojrzałego jelenia, ani też do jedynego stadnika, który jest w rewirze, bo zbyt ceni swoją kulturę myśliwską, by mógł postąpić wbrew... nie pisanemu wprawdzie, ale w jego duszy głęboko wrytemu prawu dżungli... prawu przyrody.

Dlatego też, Panie profesorze, proszę swoją notatkę skierować pod innym adresem!



WŁADYSAW CZERNIEJEWSKI

Czterdzieści lat myślistwa w stepach i puszczach

1880—1920

Ciąg dalszy

Dymidówka. P. Niedzielski w jednym z swych majątków chersońskich, urządzał doroczne polowanie. Zgromadziło się kilku dobrych, pełno gorszych i coś fuszerów-strzelców miejskich, nie zabrakło pań, tej koniecznej ozdoby wszelkiej zabawy. Gościnny gospodarz, po wczesnem śniadaniu, przed wyjazdem do lasu, chciał swym gościom zaprezentować wzorowe swe gospodarstwo, hodowlę koni, rasowe bydło i domowe, zamorskie ptactwo, na co przyklasnęli ochoczo wszyscy i wyszli na dziedziniec. Na eleganckiej kwiecistej trenzli, stała trzymana przez koniucha angielska klacz, Lady, na cienkich nogach, podkasana, chuda, charciego wyglądu. Zaciekli amatorzy-koniarze, a tych jest wszędzie bez liku, otoczyli zamorskie stworzenie, zachwycając się jego chudością, suchemi nogami, uchem sterczącem — równym krzyżem, a byli i tacy, co i ogonka klaczy nie zostawili w spokoju. Drugim, wyprowadzono na żelaznym drągu, uczepionym za nosowe, mosiężne kółko, ogromnego, pstrego buhaja. Srogie rzucał spojrzenia krwawem ślepiem, rwał racicami z pod siebie ziemię, ryczał złowrogo, grożąc tępemi rogami, stojącym bliżej. Tu już mniej okazało się znawców, nikt nie poklepał tłustych jego połci, bano się zbliżyć do srogiej bestji.

Tłusta świnka, mama, maciora z 8-giem małych tłuściochów swoich, smaczne zrobiła wrażenie. Na zakończenie p. N, chciał sprezentować swe kurniki, pełne ptactwa. Z wesołem gęganiem wyprowadził tuloński gęsior swe towarzyszki i wyciągnąwszy długą swą szyję, coś wesołego najbliższej szczebiotał; dalej, biały jak śnieg, kaczor, z filuternie zakręconym ogonkiem, kłaniał się zabawnie swym żonom i z śmiesznemi dygami coś opowiadał, co mu te głośnem „kwa, kwa, kwa“, potakiwały. Nadęty, jak żyd wzbogacony, wyszedł z ciemnego kurnika indyk; rozpuścił skrzydła, rozpiął szeroko wachlarz ogona, nadął szyję, poczerwieniały mu nos i korale namiętnością, wszedł na wysoki kamień i parskając ordynarnie, jął go deptać zawzięcie, jakby chciał popisać się przed swemi skromnemi samicami swą siłą i energją, na co te mu śmiesznem „p l, pil, pil“ odpowiedziały. Ostatni wyskoczył ochoczo z budynku złotopióry kogut. Strzepnął wspaniałem swem opierzeniem barwnem, zadarł grzebieniasty łeb do góry, uderzył się skrzydłaml po bokach i zapiał „kukuryku“! poczem z opuszczonem skrzydłem, potarszy ostrogą o ostrogę, zatoczył zręczne koło i najbliżej stojącą kwokę brutalnie za czub uchwycił, przygiął do ziemi i do małżeńskiego zmusił ją posłuszeństwa, a spełniwszy swe zadanie, strzepnął zmięte pióra i poszedł do innej w zaloty. Tu jedna z małych dzieci-panienek, stojąc z swą niemką boną, chce kogutowi przeszkodzić, od czego starsza ją powstrzymuje słowami „lass sein, er macht Eier“. Zniknęły nasze panie wstydliwe, nas samych pozostawiając.

Podano konie, ruszyliśmy do kniei. Na zboczu głębokiego jaru ciągnęły się w oddzielnych kilku grupach laski dębowe, okopane rowami, gęsto podszyte krzewami i wysokiemi burzami. Półkolem rozstawieni myśliwi nie czekali długo na zwierza, sprawnie przez liczną nagonkę pędzonego. Już padło kilka strzałów na środku i bek zajęcy ogłaszał koniec ich żywota, gdy na stojącego obok mnie aptekarza N. wyskoczył z zarośli lis. Znałem p. N. z lat młodych jeszcze, miałem go za dobrego strzelca, tem więcej po jego wczorajszem opowiadaniu o swoich sukcesach. Zdziwiło mnie też bardzo, że daleko wypuścił lisa i wreszcie z dwu luf go chybił.

W następnym miocie stoimy znów obok siebie. Miot był doskonały — strzały padały licznie i gęsto trup padał. Mój sąsiad też nie próżnował, co chwila podnosił do ramienia flintę, głuszył ciszę gromkiemi strzałami, obłoki sinawych dymów prochowych wisiały nad nim w cichem powietrzu, lecz zwierz chybiony przebiega mimo i uchodzi do sąsiedniej kniei. Gdyśmy się zeszli po ukończonym gonie, każdy miał pewną zdobycz i wesołego miał coś do powiedzenia, tylko mój pigularz za swe pudła się rumienił.

Przybyły panie z obiadem i dobremi humorami, więc przy zrazach z kaszą i starce, p. N. chmurne rozpogodziło się czoło — po rozstrzeleniu wypitych butelek i talerzy, do czego p. N. również nie miał szczęścia — kazałem zagrać pobudkę i rozstawić strzelców. Zaledwie zajęliśmy nasze miejsca, gdy chłopaki podnieśli straszną wrzawę i równocześnie z nią na gołym pagórku za laskiem pokazały się dwa wilki. Na przecięcie im drogi i zawrócenie do lasu nie było sposobu — uszły nam cało. Ja dziś miałem poraz pierwszy wchodzący w życie 5-cio strzałowy brauning od Sosnowskiego z Warszawy. Wybiegł na mnie kot i sadzi w pole. Strzelam raz, drugi, trzeci, kot, jakby mu kto piątą przyprawił nogę, jeszcze lepiej ucieka. Walę czwarty i dopiero gdy kocisko było na 90 kroków odemnie, piątym strzałem go zwaliłem. Wylazł z krzaku lis — miałem go blisko, spudłowałem i po strzale uderzył w pole — znów 3 strzały daremne, a przy piątym tak zacięła mi się ma nowa maszyna, że musiałem ją odesłać do naprawy do Warszawy. Nie miałem i ja szczęścia dziś, również jak p. N. i obydwa chybialiśmy i dużo. Tak to czasem bywa.

W marcu przybył mój patron p. N. do Czernowy i pojechaliśmy zlustrować pierwszy raz wyszłe w pole stada bydła i owiec. Jeden z czabanów oznajmił mi, że wczesnym rankiem widział wilka, do pobliskich idącego lasków Mastosowskich, skąd zapewne nie wyszedł. Odwiozłem p. N. do domu na objad, a sam podążyłem do lasków. W bezlistnym lesie było tak przejrzysto — że można było przejrzeć każdy krzak i zarośla — nie miałem więc nadziei spotkać się ze zwierzem, gdybym go tu nawet zastał jeszcze. Kazawszy trzem czabanom z psami i leśnikami zajść z dołu lasku — sam okrążywszy go z daleka, stanąłem na przełęczy, dwie jego łączącej części. Stałem między pniami dwóch niewielkich dębów, mając przed sobą z prawa kilka krzaków czarnoklonu, a za nimi, o sto kroków, dużą kępę gęstej wikliny. Potrzaskiwanie charapów czabanów i ich poświsty już wyraźnie mnie dochodziły, nawet kilka psów pokazalo się na polanie z lewa, gdy jeden z czabanów nadszedł wcześniej i na mój znak zwołał psy i zaszedł ową kępę na pagórku. Nie doszedł nawet jej połowy, gdy otoczony szary zwierz, różniący się znacznie od psów czabańskich wielkością, wyskoczył i wprost na mnie zmierzył, do wysokiej za mną dębiny pragnąc się dostać. Dopuściłem go na 30 kroków na sztych i palnąłem mu w łeb loftkami wiązanemi. Zwinął się przez łeb, lecz podniósł i jeszcze kilka kroków ku mnie zbliżył. Dobiłem go drugim strzałem. Była to jałowa wilczyca, największych rozmiarów, jaką kiedy zabiłem — w jej żołądku znalazłem $16^1/_2$ kg mięsa ze skórą świeżą źrebięcia. Zdobiła gabinet p. K. do ostatnich dni przedrewolucyjnych.

C. d. n.



Dr. ALFRED SANDER.

Posiadaczom psów myśliwskich ku przestrodze, a kompetentnym Władzom ku rozwadze.

W polowaniach na kuropatwy, które, dzięki uprzejmości delegatów krakowskich P. J. Ćwierzewicza i szwagra mego T. Sośnickiego, w bieżącym sezonie w tamtych stronach odbyłem, używał P. J. Ćwierzewicz z dodatnim rezultatem trzyletniego, wielu krakowskim myśliwym znanego, foxterriera. Piesek ten, „Ickiem“ się wabiący, był pod względem sprytu i wiatru fenomenalnym, a jako fox wystawiający kuropatwy i odszukujący bez wyjątku każdą zabitą sztukę i każdego postrzałka, byłby wogóle fenomenem, gdyby jego właściciel wcześniej zauważył te jego wybitne zdolności myśliwskie i był konsekwentnie hamował jego może nieco zbyt żywy temperament.

Ale „Icka“ już niema, a jak się to stało, opowiem ku przestrodze, słowy jego właściciela, wyjaśniając tylko, że „Icek“ dnia 17 września (w poniedziałek) podczas polowania w Liszkach pod Krakowem ukąszony został przez psa mieszańca kundla i jamnika, dotkniętego, jak się później okazało, wścieklizną. Ukąszony został w tylną nogę i wargę.

P. Ćwierzewicz pisze:

„...Biednego Icka już niema. Nie mogę psiny przeboleć, takie to było przywiązane, takie fenomenalnie mądre, że nie wiem, czy się prędko drugie takie stworzenie znajdzie. Jeszcze w środę (19 września) tak ślicznie z nami polował, a w sobotę już było po nim. W piątek jeszcze był zdrów, zjadł z apetytem obiad i to podwójny, a popołudniu, z nudów, wziąłem strzelbę i Icka, by zajrzeć, czy na mych bajorkach niema kszyków. Icek wyskakiwał wesoło, merdał ogonkiem, wybiegał, jak zwykle, naprzód. Koło radjostacji minął grupę chłopaków i nawet na nich nie spojrzał, ale gdy chwilkę później mijało go dwu małych studencików, z których jeden go znał i zaczął go wołać, Icek ni stąd ni zowąd rzucił się na nich, jednemu potargał całe ubranie i ugryzł go okropnie w nogę, drugiego zaś ukąsił w rękę. Na mój krzyk Icek uciekł i schował się za mnie, potem zaczął na drodze służyć i przepraszać, wówczas zauważyłem, że ma nos gorący. Chłopaków odprowadziłem do ich domów, zalałem ich rany jodyną i obandażowałem. Po powrocie do domu Icek najspokojniej wyskoczył na okno i położył się na swej poduszce. Tego popołudnia odwiedził mnie mój przyjaciel inż. Kl., z którym Icek witał się najserdeczniej i lizał go po rękach. Opowiedziałem inż. Kl. co zaszło, wyrażając obawę, czy Icek niema początków wścieklizny, lecz on mnie wyśmiał i uspokoił, mówiąc,

iż widział już niejednego psa wściekłego, a ten jest całkiem zdrów. Icek zjadł kolację, wypił sporo wody, a potem spał spokojnie całą noc. O szóstej rano zbudziwszy się, zobaczyłem, że Icek siedzi na poduszce, ma mordkę do góry podniesioną, język wywieszony i ziaje, jakby zgoniony. Zaniepokojony, przywołałem go do siebie, przyszedł posłusznie, zaczął służyć, a gdym go po głowie pogłaskał, począł mnie lizać po obu rękach, a następnie wyskoczył na łóżko i przywarł się mordką do mej twarzy. W tem nagle, a dla mnie niespodzianie, przyszedł paroksyzm wścieklizny, pies zawył boleśnie, takim tonem, żem się zatrząsł z przerażenia, a on chwycił mnie za rękę, robiąc trzy małe ranki. Wiedziałem już, że jest źle. Ubrałem się bezzwłocznie i wyszedłem z nim na podwórze, gdzie natychmiast uciekł pod schody w najciemniejszy kąt. Gdym się do niego zbliżył, rzucił się na mnie, ledwie odskoczyłem. Zatarasowałem go, czem się dało, by nie uciekł. W pół godziny później wypił szklankę kawy i pół litry mleka, lecz dostąpić do siebie nie dał. W pół godziny później sprowadziłem dwu weterynarzy, a ci orzekli, że to ostatnie stadjum wścieklizny. Spowodowali oni natychmiastowe zabranie Icka przez oprawcę, zaś mnie i obu pokąsanych chłopców odstawiono „przymusowo“ do Zakładu Bujwida, gdzie nam zastrzyknięto sernm przeciw wściekliźnie. A teraz codziennie dwa razy przez 25 dni muszę tam jeździć dać sobie dziurawić brzuch i wozić tam chłopców w tymsamym celu. Jedno zastrzyknięcie 80.000 Mkp., więc 480.000 Mkp. dziennie, a doliczając 32.000 Mkp. dziennie tramwaj za chłopców i 1½ miljona za potargane ubranie, mogę już naprzód obliczyć ten koszt na około 15 miljonów do kupy...“

Zdaje się, że opowiedziany w ten sposób wypadek pobudzi każdego właściciela psa rasowego do największej czujności tak w kierunku możliwego izolowania go od psów obcych, jak również w kierunku nielekceważenia sobie jakichkolwiek anormalnych u psa dostrzeżonych objawów.

Nasuwają się jednak inne jeszcze refleksje.

Wobec grasującej w zastraszający istotnie sposób wścieklizny, przepisany jest wszędzie przymus kagańcowy i linewkowy, przestrzegany on jest jednak, a to tak surowo, że Małop. Tow. Łowieckie żadnych ulg dla psów myśliwskich uzyskać nie zdołało, tylko we większych miastach, bo po wsiach psy biegają zupełnie swobodnie, a to nietylko między domami, ale i po polach i lasach, bo bądź same tam idą, bądź towarzyszą swym „suwerennym“ właścicielom, przy ich pracy poza wsią. Przy takich sposobnościach uzupełniają owe „Brysie“ swą, zwykle im w domu w niedostatecznej ilości dawaną karmę, tem wszystkiem, co im na owych spacerach w paszczękę wpadnie. Te jednak psy wiejskie są zarazem niewątpliwie szerzącej się epidemji głównem siedliskiem i jej roznosicielami; za tem przypuszczeniem przemawiają znane stosunki, a to mniejsza o psa dbałość naszego włościanina, wielka, zbyt wielka ilość psów i nadmierne wzajemne ich stykanie się z psami nawet z bardzo odległego sąsiedztwa, o co w polu, przy zupełnie swobodnem, bez kagańców odbywającem się wałęsaniu, nie trudno.

Możeby zatem kompetentne Władze zechciały zrobić porządek z psami po wsiach i po małych miasteczkach, bo to bezwątpienia przyczyni się do rychlejszego stłumienia, od lat kilku niewygasającej, epidemji.



Przypomnienia myśliwskie w „Rolniku“.

W roczniku bieżącym „Rolnika“, organu Towarzystwa gospodarskiego, spotykamy się z temi „przypomnieniami“ co każdego miesiąca. Autorem ich jest Dr. Alfred Sander. Notatki te, pisane zwięźle, z wielką znajomością łowiectwa i fauny naszej łownej, zasługują na specjalną uwagę rolników, uwzględniają bowiem nietylko interesy łowiectwa ale i rolnictwa i wykazują dobitnie, które szkodniki i drapieżniki w pewnych porach roku i okolicznościach, dla dobra rolnictwa chronić należy. Z pod pióra autora przebija się zdrowa myśl przewodnia, że ukochane bardzo przezeń łowiectwo, tylko wtedy istnieć i rozwijać się może, jeżeli kroczyć zgodnie z rolnictwem i z niem w spólnych potrzebach i warunkach bytowania, uzupełniać się potrafi. Notatki te, choć zwięzłe, są jednak wybornem vademecum dla każdego myśliwego-hodowcy, a dla łowiectwa nadto specjalnie posiadają tę wartość, że propagują zdrowe zrozumienie jego w sferach, w których nieraz idea łowiecka z gruntu fałszywie się interpretuje, będąc uważaną za szkodliwą dla rolnictwa zabawkę.

A. M.



WŁADYSŁAW KROGULSKI

(Przedruk wzbroniony)

Góry uralskie i step kirgizki.

(Z zapisków jeńca)

Brzegi Urala w jego średnim i dolnym biegu, to step kirgizki. Step bezbrzeżny, który Wielki Ałłach wiernym swym synom darował, aby pełne były ich brzuchy, aby kobyły ich i wielbłądy płodziły im stada, mnogością swoją gwiazdom się równające, i aby pełne były ich wory smacznego kumysu.

I przedzierzgnął Ałłach ten step „Ataj Or“ („ojcem Uralem“), iżby gasił pragnienie wiernych i rybą ich słodką karmił.

Dziś, co prawda, najżyźniejszy szmat tego stepu, t. j. prawy, średni bieg Uralu, po długoletnich krwawych walkach zajęli kozacy i przemienili go w spichlerz Rosji, lewy jednak brzeg został w ręku synów Proroka, osiadłych tu Tatarów, niegdyś „Złotej Ordy“, żyjących na prawach kozackich i dzikich synów stepu — Kirgizów,

koczujących ze swemi stadami od Aralskiego morza aż po skaliste grzbiety Uralskich gór.

Niestety, nie tak słodko żyje się wolnym synom tych stepów. Zdarzy się lato skwarne, to już w końcu maja trawy żółkną, potoki wysychają, ziemia pęka, pożary przeganiają Kirgizów z miejsca na miejsce. A gdy skupią się wielotysięczne stada na stosunkowo małej przestrzeni, zaczyna się brak paszy. Skoro wśród tabunów wybuchnie epidemja, to niszczy je zazwyczaj doszczętnie.

Bywają też zimy tak śnieżne, że bydło nie jest w stanie wygrzebać sobie paszy z pod śniegu, ginie więc śmiercią głodową, bo siana Kirgizi nie robią. Często spotyka się takie cmentarzyska padłych zwierząt, wyschniętych na mumie, niezwykła bowiem suchość powietrza nie dopuszcza rozkładu. Jesienne dopiero deszcze rozmiękczają je o tyle, że czynią z nich pokarm dla wilków, lisów i skrzydlatych drapieżców.

Smutny jakiś bywa ten step latem. Pod bezobłoczną kopułą nieba, żółta bezbrzeżna równina, trzeszcząca mrowiem koników polnych, świerszczy i szarańczy, usiana słupkami susłów, nurkujących śpiesznie, gdy padnie na nie cień nieruchomo rozpostartych skrzydeł birkuta. Dopiero jesienią ożywia się nieco step świeżą zielenią. To czas łowów.

Potem długa, sroga zima, zaglądająca podróżnemu widmem śmierci w oczy, czasy bezdroży, wściekłych „buranów“ (śnieżnych zamieci), a zarazem czasy połowu dla rybaka. — A wreszcie wiosna!

Przychodzi prawie niespodziewanie, — jasna, śmiejąca się słońcem, gwarna szumem wezbranych strumieni i krzykiem miljardów ciągnącego ptactwa.

Od tej to pory roku zacznę moje opowiadanie: jak żyłem i co robiłem, zagnany losem wojny, w tym pożegnanym już — da Bóg, na zawsze — przezemnie kraju.

Widząc, że żadne wrodzone talenty czy umiejętności w tym dzikim kraju chleba mi nie dadzą — a żyć z czegoś trzeba, wybrałem sobie profesję najbardziej mojej „żyłce“ miłą, a więc: myślistwo i rybactwo.

Dzięki temu, że przeciętny urzędnik rosyjski, ma, prócz głowy, nabitej różnymi „zakazami“, także i ręce, i, że religja prawosławna, prócz ogólnie w innych chrześcijańskich konfesjach czczonych dziesięciorga Bożych przykazań, zna jeszcze jedenaste — „Nie ziewaj“, co się na polskie przekłada „bierz, kiedy dają“ — dostałem pozwolenie na posiadanie broni myśliwskiej i wykonywanie prawa polowania.

Pan „prystaw“ konkludował słusznie, że jeden „polaczok“ ze śrutówką „buntu“ jeszcze nie zrobi — a że Polak do tańca i do polowania zawszc bywa „maładiec“ — ergo i na kuchnię prystawa coś kapnie — więc pozwolił. Strzelbinę miałem „pompówkę“, w miarę cnotliwą: choć dymem z kominka nos okopci, ale zwierza położy.

I tak zaczęły się łowy — a łowy tu zacne. Wiosną step kirgizki przerżnięty „Ojcem“ Uralem, tylko się lśni w słońcu od srebrnych wstęg „zalewów“ i bezbrzeżnych tafli „limanów“. A na nim szum, gwar, plusk, puszystą piersią bystro prótych toni, a nad nim sznury i klucze ciągnącego ptactwa.

Zatrąbi łabędź, gęś zagęga i żałobnym klangorem ozwie się żóraw. Na tle tego akompanjamentu wygrywają dźwięczną melodję bystre skrzydła kaczek i flety kulików, a takt im wybębnia bekas długodzioby i bąki basem powtórują głuchym.

Wieczór, gdy lampa słońca gaśnie, tonąc w fali dalekiej — łódź zwrotna z jednego pnia topoli drążona, ku wysepce drżącą osiką zarosłej, podpełza, poczem długo błyskają smugi ognika samopału i biały dym, strzępiastą płachtą ściele się nad miedzianem od zorzy, wód zwierciadłem. Strącony strzałem z powietrznych szlaków ptak — to ciężko trzepnie o ziemię, to fontannę z rubinów i opali nad wodą wzbije.

I dopiero noc szara spędzi myśliwego, sytego łupu i wrażeń, z jego stanowiska.

Spoczywa strzelba, a poczynają się inne łowy. W głębokiej ciszy nocnej, stuknie niekiedy pływak sieci rybaczej o burt łodzi lub pluśnie wiosło, niebacznie trącone. Ciche to łowy, kocich ruchów wymagające i silnych ramion — ale bogate w zdobycz.

Dnieje. — Słomka gdzieś niewidzialna chrapie, z niezatopionych wysepek nadbrzeżnego lasu dolatuje bełkotanie cietrzewi, gwar kaczy z wód się podnosi, a rybak sieci swe wytrząsa. Pobłyskują w promieniach jutrzenki złote karpie garbate, srebrzą się sandacze zadzierzyste i płaskie leszcze, — wiją się sumy wąsate, a troskliwa ręka rybaka, pieczołowicie rozwikłuje pajęczynę sieci i coraz to nową zdobycz na dnie łodzi składa. Powrót do domu — to kilkanaście nieraz kilometrów znojnej pracy wiosłami. Następnego wieczora znowu serce rwie się do tego haszysza zapomnienia — do tych przesilnych wzruszeń, jakiemi dobra przyroda koi serce i tęsknotę wygnańca.

Kirgiz i Tatar strzelby nie kocha, ubitego bowiem zwierza strzałem, jeść im Koran zabrania — operują więc przeważnie siecią i samołówkami, a złowione ptactwo dorzynają nożem. Kirgiz nie umie chodzić pieszo, uważa to sobie za ujmę, a wszelkie łowy połączone z zasiadką lub skradaniem się — za czyn niegodny. Jako dzielny jeździec, woli mierzyć się z szybkością czy sprytem zwierza, w otwartym boju.

To też dopiero jesienią otwiera się pole dla jego „au“ (łowów), kiedy na szybkim, jak wiatr, bachmacie, ze smyczą silnych, długowłosych chartów lub unoszonym „berketem“ (sokołem lub orłem), pociągnie w step — by wilka burego poszczuć z komyszy lub na czujnego dropia uderzyć sokołem.

Szumne i gwarne to łowy, pełne szalonych skoków, dzikich pokrzyków i rycerskiego animuszu.

Ruszamy ławą: na skrzydłach jeźdźcy z chartami na smyczach, reszta uzbrojonych w arkany i nahajki. Cicho szłapią boso-kopyte konie po miękkim kobiercu traw, Tatarzy zawodzą tęskne pieśni rodzinne, do wtóru krzykliwego „kuraju“ — t. j. piszczałki, zrobionej z łodygi łopucha. Naraz jakiś piskliwy głos wrzasnął „bure! (wilk).

Z zarośli dzikich wiśni ruszyła stara wadera i bystro nurknęła w wysokie, suche już burzany.

— Aj — da! — Ał — ał! (trzymaj) — huknęło po całej linji.

Z kopyta rusza ława, charty puszczone ze smyczy, koso przecinają pole i zaczyna się piękna zabawa myśliwska, pełna wycia-rozochoconych jeźdźców. Jeden z dżigitlar'ów (zuchów) dojeżdża odcinającego się pięciu chartom wilka i wali go na odlew, grubym jak polano, nahajem przez latarnię. Wilk słania się... „Ur! Ur! (bij) — ryczy obława. Drugie uderzenie zwala wilka z nóg, następnych kilka, stuknąwszy głucho o jego trójkątny czerep, uśmierca.

Krasna wstęga posoki sączy mu się przez lśniące kłańce zaciśniętej szczęki. Jeden z jeźdców poczyna wilka obielać, reszta w siodle, krzyknąwszy Aj — da! rusza cwałem w step szeroki.

Są plemiona kirgizkie, u których do dziś dnia istnieje sokolnictwo.

Nierzadko obchodzą się na polowaniu Kirgizi zupełnie bez psów i sokołów, a rolę ich spełniają sami jeźdźcy, zbrojni w arkan, nahajkę i kindżał. Arkanem Kirgiz włada mistrzowsko, tak, że niektórzy z nich łapią nim kipiącego zająca, albo we dwójkę — bez pomocy psów — biorą między siebie na arkan, najtęższego wilka i, skracając w biegu równocześnie arkany z obu stron, podwieszają go wreszcie między końmi i potężnymi razami nahaja kładą koniec zbójeckiemu żywotowi starego łotra.

Do jakiej zdumiewającej sprawności w kierowaniu koniem dochodzą ci, od lat chłopięcych do siodła przyrośli, synowie stepu, uwierzy tylko ten, kto ich widział harcujących na dzikich źrebcach podczas wyścigów i rycerskich zapasów, w jesienne święto „ramazanu“, t. j. święto jedzenia baranów.

Ktoby pomyślał, że taka „par excellence“ europejska — jak nam się zdaje — gra „Polo“, jest jedną z najstarszych zabaw kirgizkich.

Kirgiz — jak powiedziałem — jest o tyle myśliwym, o ile polowanie połączone jest z użyciem konia. Strzelbę mniej lubi; sidłami zaś i samołówkami innemi, operują chłopaki tylko i to więcej z psoty wiekowi ich właściwej, aniżeli z wrodzonej pasji lub potrzeby. Dzięki temu snadź taka mnogość w ich kraju zwierzyny wszelakiej, w stosunku do mało korzystnego terenu, sprzyjającego hodowli. Prócz bowiem bardzo wąskiego skrawka liściastego lasu, kępami rozrznconego po brzegach rzeki Urala, wszędzie step jednostajny, niewielkiemi jarami poprzeżynany i jednolite morze traw, jednego prawie gatunku. Zrzadka tylko srebrzą się białe tafle jezior, czasem dość wielkich — często słonych.

W trawach tych i kępach żyją i gnieżdżą się: wilk, lis, tchórz, norka, zając, drop większy (brodacz), drop mniejszy (strepet) i karlik, kuropatwa, przepiórka, pustynnik. Po jeziorach zaś i błotach lęgnie się wszelkie ptactwo, od łabędzia począwszy, a na kuliczku skończywszy. W lasach — cietrzew, kuna i przybysze z pola.

Na ptactwo nikt tu prawie nie poluje, to też takiem zaufaniem cieszy się u nich człowiek, na jakieby sobie nasza n. p. kaczka lub gęś nigdy nie pozwoliła. Podejść tu siedzące na odkrytej wodzie kaczki, nie przedstawia najmniejszej trudności. Po strzale, te, co ocalały, pokrążywszy nieco, zapadają znowu spokojnie, przed nabijającym strzelbę myśliwym. Przesadzonemi też wydają się opowiadania myśliwych naszych o trudności polowania na dropia. Tu podjeżdża się do tego czujnego ptaka prawie zawsze z pomyślnym skutkiem, a pieszo nie trudniej go upolować, jak u nas n. p. bociana. Jeżeli wiele dropi i łabędzi, które podchodziłem uszły z życiem, to nie z racji swej przezorności, lecz dzięki mej — zgoła nie Holandowskiej — śrutówce. Nabijając cierpliwie moją „pompówkę“, wzdychałem nieraz do Winchestra, kal. 22. Nie powiem jednak, abym go pożądał gorąco, bo właśnie ta prymitywność mego polowania, miała w sobie ten głęboki urok, który mnie tak upajał.

Zdaje mi się, że suchy trzask strzału bezdymnym prochem, nie harmonizowałby z tą pierwotną muzyką stepu, gdzie dźwięki brzmią takie pełne, roztoczyste. Zdaje mi się, że daleki jar nie odpowiedziałby echem na mój zdradziecki wystrzał i brakłoby mi białego obłoczka dymu, za którym niekiedy wstyd mój ukryćbym zdołał przed drwiącem okiem słońca.

Trudniejszem nieco jest polowanie, zwłaszcza bez psa, na dropia karlika, którego tu mnogość niezmierna. W stadkach bywa on bardzo lotny, a pojedyńczo wycieka zawzięcie, tak, że strzela się w „piechura“, śladem rozchylonych przezeń traw.

Samce stare dosiadują wprawdzie twardziej i trudniej je ruszyć, ale za to strzał pewny, bo ruszone, zlatują ciężko, podobnie do kaczki krzyżówki.

Pozostaje jeszcze kuropatwa i przepiórka, które, prócz lisa, tchórza i drapieżników skrzydlatych, innych wrogów n. p. wnykarzy, nie znają, zawdzięczając to swej maliźnie. Smak ich zaś nie jest przynętą dla krajowców, których pociąga ilość wagowa, a nie jakość i, którzy każdy rodzaj mięsa jadają wyłącznie gotowany.

Prócz łowów tutaj opisanych, a tchnącym średniowieczem — u nas już zapomnianem — uprawiałem i rybołostwo.

Ural, rzeka niezwykle rybna i przytem w rybę wykwintną. Jest: karp, sandacz, bieługa, jesiotr, sum, miętus i mrowie wszelakiej „białej“ ryby, to też latem wędką, a w zimie siecią, obficie czerpałem z tego skarbca, ale, że sposoby połowu tutaj uprawiane nie noszą cechy

szlachetnego sportu, więc o nich przemilczę, tembardziej, że los przeniósł mnie później w Uralskie góry, w taki raj dla rybaka i myśliwego, że przy nim zbladły wszelkie moje myśliwsko-rybackie sukcesy, odniesione w kirgizkim stepie. Ich opis będzie treścią dalszego opowiadania.

* * *

Jeśli jest w Starym Świecie zakątek, który Bóg przeznaczył myśliwemu jako nagrodę doczesną za jego żywot zacny przed Panem i za jego cnoty myśliwskie — to jest nim Ural!

Bez cnót myśliwskich nie wnijdziesz duszo do tego raju, gdy zaś przez pomyłkę losu tu się dostaniesz, strzelaczu zwykły, to po trzydniowem lizaniu się z trudów podróży i po pierwszym spacerku z fuzyjką — wrócisz z pełną torbą... ale... ładuuków, pod dach, który cię gościnnie przyjął — spakujesz swoje waterprofy — i... w nogi!

Ale za to myśliwego z żyłką, choćby mu gorąca, junacka krew już nieco przykrzepła w tętnicach, gdy tylko pociągnie nosem, jak stary wyżeł — i ułowi w znikotyzowane nozdrza ten zapach próchna i żywicy, jakiem tchną ostępy niedeptane stopą ludzką, gdy Baszkir, pytany po drodze o nazwy mijanych miejscowości, zacznie mu śpiewać: „Kamajełga“ (rzeka bobrów), „Ajuutkan“ (niedźwiedź uszedł), „Jauz-bars“ (zły tygrys), „Sohat-utrodiler“ (łosia zabili), „Berket-tugaj“ (orla dolina), „Berdjasz“ (potok pstrągów), „Tulmen - jełga“ (rzeka łososi) i tak bez końca, co góra, polana, lub potok, to nazwy ich związane albo z rodzajem zwierza, lub ryby, w którą obfitują, albo ze wspomnieniem jakiego zdarzenia myśliwskiego — to z pewnością poczuje ten miły dreszczyk, który jest przedsmakiem spodziewanych rozkoszy myśliwskich.

Takich też doznałem wzruszeń, jadąc na miejsce mojego wygnania — jako internowany — do Inzerskiego okręgu górniczego, wsi Kame-jełgi (rzeki bobrów).

Sama podróż tutaj jest przedsięwzięciem godnem obszernej wzmianki.

Przestrzeń tego okręgu, równającą się mniej więcej Małopolsce od jej zachodniej granicy po Rzeszów, przecięta jest tylko jednym jedynym t. zw. traktem, czemś na kształt drogi, skomponowanej — bo budową tego nazwać nie można — z kamienia, wody, ziemi i drzewa. Niestety, elementów tych ręka ludzka nie zmusiła do jakiejkolwiekbądź z sobą łączności, a indywidualny stosunek tych żywiołów do siebie jest conajmniej wrogi. Z wywodu tego jasno wynika, jak ujemnie odbija się to wszystko na nogach koni, całość i wehikułów i bokach nieszczęsnego podróżnika. I oto właśnie los zechciał, że musiałem odbyć tę słodką podróż, wprawdzie w towarzystwie miłej białogłowy... (proszę tylko bez domyślników, bo mojej rodzonej żony!), ale zato wiosną, kiedy rozluźnienie w konsystencji dróg jest najfatalniejsze.

Pierwszy jamszczyk (woźnica), jaki się nam dostaje, ma być „pewny“, t. j. jeden z tych, co to pytany, odpowiada: „Jakżeż!... drogę przecie znam tak, że czy dzień, czy noc, dla mnie w s i o r a w n o — tyle lat rozmaite n a c z a l s t w o wożę i nigdy żadnego wypadku nie było“. Jedzie się rzeczywiście noga za nogą, lecz, mimo to, kołaczesz się w tarantasie, jak groch w pęcherzu, przesiadasz się, wstajesz, klękasz, wreszcie trach! Tarantas, po krótkiem wahaniu się, mimo, że usiłujesz sam ze wszech sił zapobiec wywrotowi, wali się w błoto. Jamszczyk, z trudem podnosząc wehikuł, mruczy pod nosem: „Ach, czort wziąłby, że też kużden raz, cholera, na jednem i temsamem miejscu wywalić się musi!“ Nie chcę, rozumie się, przypominać mu, jak niedawno twierdził, że „nigdy wypadku nie było“.

Do następnej stacji — jak opiewa rządowy drogowskaz — jest tylko 45 wiorst; wiedzieć jednak zawsze trzeba, dla osobistej orjentacji, że baszkirska wiorsta jest wprawdzie wąska, atoli niezwykle długa, a to z powodu zygzakowatej konfiguracji terenu, której, przy urzędowem oznaczeniu odległości, nie brano w rachubę. Potwierdza to zresztą ludowa gadka: „Drogę mierzył Fedor z Tarasem: mierzą, mierzą, łańcuch im pęka, Fedor mówi: „zwiażem“. Taras odpowie: „Ach! lepiej tak „skażem“... Na tych dowolnie przyjętych danych opierają potem plany urzędowe.

Wszystkie te „intermezza“ w mojem opowiadaniu mają ten cel jedynie, miły czytelniku, by odwrócić twoją uwagę od widoku tortur, jakie znosimy podczas tej straszliwej jazdy.

Nareszcie stacja. Z baszkirskich jurt wybiegają na nasz widok dzieciaki, „apaj“ i „kizini“ (baby i dziewki), zerkając na nas wstydliwie z poza swej „czalmy“ błyszczącemi węgielkami oczu. Właściciel stacji, dostojny, brzuchaty Baszkir, ugaszcza nas obficie „czajem“, miodem, „biszbarmakiem“ (kluskami z koniną). Przed gankiem pobrzękuje dzwonkami „trojka“ tęgich baszkirskich źrebców.

C. d. n.



Zamknięcie polowania.

L, 23393/23 **Podhajce, dnia 15 października, 1923.**

Wykonując reskrypt z dnia 30 września 1923 — L. 40103/2194/V/I ex 23, w sprawie zamknięcia polowania na jeden rok na rogacze jak i kuropatwy, donoszę Województwu, iż na skutek reskryptu Województwa z dnia 18 czerwca b. r. L. 23562/V/3 ex 23, rezolucją z dnia 25 czerwca 1923, L. 14429/23, wystosowaną do wszystkich właścicieli samoistnych okręgów polowań w powiecie jak i do dzierżawców okręgów polowań Spółek łowieckich, zamknąłem polowanie na rogacze i kuropatwy na jeden rok.

O zarządzeniu tem powiadomiłem w swoim czasie wszystkie Posterunki Policji Państwowej, celem ścisłego przestrzegania tegoż.

Starosta.



Sprawy Towarzystwa.

SPRAWOZDANIE
z posiedzenia Wydziału z dnia 23 listopada 1923.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski. Obecni wiceprezes A. Mniszek, członkowie Wydziału pp.: inż. Danek, inż. Ebenberger, inż. Kamienobrodzki, Pieńczykowski, Prek, Streer, zast. członka Wydziału p. Kwiatkowski, nadto p. starosta Ćwierzewicz. Uchwałą Wydziału przeniesiono drukowanie „Łowca“ do „Drukarni Narodowej“.

Przewodniczący Komitetu budowy ołtarza św. Huberta, wiceprezes Albert Mniszek, zdał sprawozdanie z działalności Komitetu, zaznaczając, że za dwa lata w dzień jubileuszu Tow. członkowie M. T. Ł. będą mogli wysłuchać mszy św. przed tym ołtarzem w kościele św. Elżbiety. Wykonanie obrazu św. Huberta do tego ołtarza, powierzono znakomitemu artyście naszemu prof. p. K. Sichulskiemu.

Postanowiono wezwać członków Tow. do składania natychmiastowego datków na cel powyższy.

Mianowano delegatem na powiat Przemyślański p. p.: Marjana Wolańskiego i Bronisława Galińskiego.

W poczet członków M. T. Ł. zostali przyjęci p. p.: Franciszek Beyer, Marjan Gosławski, Aleksander Parko, Artur Jaworowski, Bogdan Załuski, Józef Salc, Eryk Frey, Stanisław Lis, Franciszek Barański, inż. Franciszek Pelczarski, Władysław Pelczarski, Tadeusz Marek, Jan Weydy, inż. Alfred Stelmachowicz, inż. Eugenjusz Oberski, Kazimierz Powidski, Dr. Robert Quest, Marko Roman, Rościsław Rudnicki, Roman Stahl, Tow. myśliwskie w Trembowli.

OD WYDZIAŁU I REDAKCJI!

Przerachowanie złotego polskiego na marki na miesiąc grudzień, przyjęto na 540.000 Mkp., wskutek czego wkładka kwartalna wpłacona wciągu grudnia wynosi 1,620.000 Mkp., prenumerata zaś „Łowca“ dla niecżłonków M. T. Ł. wynosi 810.000 Mkp.

Członkom, zalegającym wkładkami za III kwartał wysyłamy „Łowiec“ z wypełnionym czekiem i prosimy o wyrównanie należnej wkładki za kwartał III i IV.

Odznaki członków i delegatów są do nabycia w biurze M. T. Ł. w cenie po 540.000 Mkp., z doliczeniem kosztów opakowania i porta.

Zarazem prosimy członków, którzyby sobie życzyli prenumerować „Łowiec Polski“, miesięcznik Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich, by nam zakomunikowali, celem zamówienia odpowiedniej ilości numerów tego organu, który się pojawi w styczniu 1924.

Na ołtarz św. Huberta: Mniszek Albert 2 akcje „Arma“ = 740.000 mp.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Z „Drukarni Narodowej“, Lwów, ul. Szajnochy 2.

Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.